

NIĆ

Głupio się stało i całkiem niepotrzebnie. Tak myśli Ona, gdy przekłada odświeżone sukienki naftaliną.

1

Wszystko przez to, że tamtego wieczoru On włączył radio. Właściwie gdyby tego nie zrobił, też by się w końcu musieli dowiedzieć, że reszta świata, nawet dla nich, jest ważniejsza nawet niż oni sami. Reszty tej nie obchodzą zaś wcale Ich świętości.

Takie na przykład, jak te jej sukienki, z roku na rok coraz bardziej obcisłe, z tiulowymi falbankami pod szyją, obręzionymi na brzegach błyszczącą nitką. Złotą lub białą. Srebrnej nie można było dostać ani w Jędrzejowie, ani nawet w Kielcach.

Dalej nie ruszali się od lat. Nie dlatego, żeby nie mieli dokąd. Na drzwiach szafy po wewnętrznej stronie długi rząd adresów wyciśniętych ołówkiem kopiowym. Dla niezagubienia.

Najstarszy syn -Kraków. Reżyser w teatrze.

Średni –inżynier w Policach.

Dwie córki -nauczycielki w Gorzowie.

Najmłodszy lekarzem we Wrocławiu.

Sześcioro wnuków też już na swoim. Nad morzem, na Śląsku... Jeden w samej Warszawie, ożeniony z córką ważnej osobistości.

Po całej Polsce mogliby jeździć, gdyby chcieli. Ale nie chcą.

Dość się w życiu nawędrowali z przymusu.

-Na wołowej skórze by tego nie spisał- zapewnia On, ale nie spisz i drugim nie pozwoli.

- Dwadzieścia lat na tobołach- kręci głową Ona - Dzieci nam się rodziły w pociągu na Wschód, na statku z Odessy, w strychowym pokoiku u krewniaków pod Zamościem - wylicza- Szkoda gadać - macha ręką i odgania wspomnienia.

Nie na to człowiek przecierpiał pół życia – kończy On – żeby to drugą połowę wspominać. Niech sobie profesorowie od historii łamią głowę nad tym, co było przedtem. Mnie nie obchodzi. Życie trzeba, a nie biadolić.

Najważniejsze, że po tym wszystkim znaleźli dla siebie- jak mówią- miejsce na zawsze. Całe z cegły i dębiny. Z szerokim gankiem ustawionym na przeciwko bramy, jakby specjalnie dla witania gości.

W Ich domu najważniejszy, zaraz po ganku, jest salon. Tak mówią. Nie pokój, nie izba, choć

jest ciemny i niski, ale salon.

Zajmuje pół parteru. Właściwie cały jest stołem, dwoma rzędami krzeseł i dwoma fotelami na przeciwnych końcach.

Między tym wszystkim sterczą jeszcze wysokie stołki na długich, chudych, szeroko rozstawionych nogach.

Fotele są tylko dla Nich, krzesła dla gości, stołki dla drobiazgu, który bez nich nijak nie sięgnąłby nad stół.

- Takie stołki to konieczność- powtarza On- Wiadomo przecież, że boskim porządkiem z dzieci przychodzą wnuki, a z wnuków prawnuki.

Dlatego On na wieść o każdym nowym przyjeździe zamyka się w drewni i struga nowy stołek.

-Rozum trzeba dziedziczyć-mawia- nie siedlisko.

Stąd stołki, z których coś wyrosło i stając się kimś przesiadało się na krzesło, palił.

Może to i dlatego tak się Ich krew po Polsce rozsiała, a w domu zostali sami? To znaczy ze sobą.

Ziemi już mają tylko okruszynę. Skrawek łąki z sadzawką i klinek pod ziemniaki przy domu.

Trzymają też do roku dwa świniaki. Z tych świniaków jest świniobicie, a ze świniobicia święto. A jak jest święto, są i goście. Po co Im więc jeździć po Polsce?

Wolą siedzieć w domu i pleść wiklinowe koszyki, trzcinowe śliczności.

- Cepelia się o nie zabija, jakby to były jakieś dzieła sztuki- wzrusza ramionami Ona i źle udaje zdziwienie.

Na okoliczność gości Ona zakłada ciemne sukienki z tiulowymi falbankami obręzionymi na biało lub złoto. Też ładnie wygląda. Nie musi się zaraz za tą srebrną nitką po świecie rozbijać.

Latem, jak goście przyjeżdżają na dłużej i to nie wszyscy na raz, tylko jak komu pasuje z urlopem, nie stroi się w te błyskotki na co dzień. Prostym dniom przynależą się proste ubrania i proste zajęcia.

Siano koszą, kartofle plewią całą gromadą, albo bach- brzuchy do góry i na słońce, koło sadzawki. Z jednym okiem zawsze otwartym, żeby najmłodszych gości dopilnować. Sadzawka płytka wprawdzie, ale to takim brzdącom dużo trzeba? A co młode ma żyć na ziemi. Do nieba zawsze zdąży. Niech najpierw zasłuży.

Co innego wieczorem. Najpierw wysłuchają dziennika. Tego w radiu. Telewizji nie oglądają wcale, bo to głuptactwo, więc nie ma po co. Jak im się jednego roku szafir zepsuł, to Bogu podziękowali, nakryli go obrusem, postawili kwiaty i spokój.

Goście też się o filmy nigdy nie upominają. Nawet ci najmłodszy o dobranocki.

Piszczą tylko, ganiają, rechocą, kuksańce sprzedają jedni drugim bez powodu i bez

opamiętania. Tak samo od największego do najmniejszego, jak powariowani, tak że czasem tylko po wieku idzie rozeznąć kto komu rodzicem, a kto dzieckiem.

Po dzienniku, gdy radio przestanie już trzeszczeć, pomyci i poczesani zajmują kolejno fotele, krzesła i stołki.

Wtedy falbanki muszą być pod szyją. Inaczej kolacja nie mogłaby smakować. Ani Jej, ani Jemu, ani dzieciom (jakie tam dzieci, stare konie, wiadomo: reżyser, inżynier, lekarz, nauczycielki), ani tym, którzy się z nimi pożenili, ani tym, którzy z nich przyszli i co rok przychodzą.

Ale falbanki są i błyszczą, więc kolacja smakuje. Nawet bardzo rozstrojone pianino, na którym Ona po deserze fałszuje „Dla Elizy” brzmi lepiej niż to w filharmonii.

„Próżna sukienka” jest tylko na specjalne okazje, czyli na każdą rocznicę zamieszkania w Ich miejscu na zawsze. Tak szczęśliwie się złożyło, że wypada ona w sam raz na Wigilię, także święta mają podwójne.

To On nazwał ją prózną, bo oprócz tiulowych falbanek obrębionych na złoto ma na rękawach i dookoła dekoltu lamówkę z czarnego futerka.

-Żeby ze zwierzaka zedrzeć skórę nie dla najedzenia się, czy ogrzania - mawia On- ale dla ozdoby, to sama próżność przecież. Gdyby to On napisał encyklopedię, a nie jacyś profesorowie, to by w niej umieścił hasło „próżność”, a pod nim dał zdjęcie jego żony w tej sukience.

Ale to żarty wszystko. Zawsze to powtarza dla ogólnego śmiechu, który niski sufit salonu podnosi i nim potrząsa co roku tak samo i o tej samej porze.

Wtedy salon jest pełen. Wszystkie miejsca zajęte. Na stole biały obrus. Właściwie bez potrzeby, bo go i tak wcale nie widać spod tych tac, półmisek, koszyków i tego wszystkiego, co się z nich niemal wylewa i wysypuje.

W Ich domu ta noc nigdy nie jest cicha. Bo jak tu takim tłumem cicho kolędować albo śmiać się w rękaw z jego wywodów na temat próżności.

Kto by też dzieci dopilnował. Niech się piorą pod choinką o prezenty! Kto sprytniejszy, ten lepszy. Zawsze się w końcu coś bezpańskiego pod choinką poniewiera po bitwie. Wtedy należy się dodatkowo najmłodszemu.

2

Głupio się stało i całkiem niepotrzebnie. Tak myśl Ona, gdy przekłada tiulowe sukienki naftaliną. Mało ma teraz okazji, żeby je zakładać.

Jemu z „próżnej” też nie chce się żartować, bo kto się z tego śmieje?

Rzadko teraz w salonie za stołem i naprawdę cicho. Nawet w tę noc.

Wszystko przez to, że jednego razu wieczorem On włączył radio, ot, z przyzwyczajenia i bez przecucia żadnego. Posłuchał, pobladł i jak mówi, aż nim zatelepało.

Zimno było tego dnia niemiłosiernie. Droga do wsi zasypana. Ich dom na uboczu. W stawach kręciło oboje, tak że tej niedzieli nawet do kościoła nie poszli. Do nich też nikt nie przyszedł. I nic w tym dziwnego. Pogoda, że psa nie wygoń. Każdy się przy swoim piecu grzeje.

Dopiero wieczorem On to radio włączył i nie było w nim normalnego dziennika tylko nadzwyczajny.

Ona się popłakała i powiedziała, że się znowu boi, chociaż już dawno zapomniała jak ten diabeł -strach- wygląda. On jej na to:

-Spokojnie, spokojnie. Za parę dni goście się zjadą i znowu wszystko będzie po staremu. Co to nie wiesz, że choćby świat się skończył i wszystkie ziemskie porządki diabli wzięli, to boskich praw nic nie ruszy?

Dla Niego zaś boskie prawo jest takie, że co odrośnie, co piórek dostanie, musi odfrunąć. Ale jak jest święto, to się wszystko z powrotem zlatuje do kupy. Każde każdemu spojrz w oczy, sił nabierze i może znowu odlecieć. To się nazywa rodzina. I żadne dekryty nic tu nie zmieniają.

- Tak ty się nie maż- powiedział do Niej –tylko próżną sukienkę szykuj na gości.

I naszykowała ją niepotrzebnie.

Dwa rzędy czystych talerzy i obrus pierwszy raz nie poplamiony.

Oni w fotelach po przeciwnych końcach stołu bardziej niż zwykle przygarbieni, jakby niski sufit salonu opuścił się jeszcze bardziej i przygniatał.

Śnieg już zaczynał topnieć, gdy dotarli do Nich tylko kartki z życzeniami.

To Go do końca wyprowadziło z równowagi, bo On kartek świątecznych nie uznaje. Po prostu nienawidzi. W życiu żadnej nie dostał. Ani nie wysłał.

-Człowiek na to ma język-mawia- żeby sam powiedział, czego komu życzy. Jeden dla drugiego ma być człowiekiem, a nie adresem. Od pisania są poeci i sekretarki u dyrektorów.

Taka w nim złość wtedy za te kartki powstała, że kupił całą paczkę kopert i kratkowany zeszyt. W zeszytce ponapisywał, co myśli, na koperty spisał adresy z szafy, poślinił znaczki, wrzucił to wszystko do skrzynki i wtedy mu przeszło.

Tylko smutek jakiś dziwny został.

- Nie ich wina przecież- teraz Ona pocieszała jego - Czekaj, niech się ta durnota skończy to się zjadą i znowu wszystko będzie po staremu.

Ale on czuł, że nie będzie. Nie dlatego, że listy poszły w świat i zawrócić się ich nie da.

Słowa to tylko. Papier i atrament. Spalisz, zapomnisz, przebaczysz. Nie o odpuszczenie tu szło.

-Nie ich wina- powtórzył-wiem - i zagapił się w stertę gazet, które po wielu latach znowu zaczął kupować.

-Widać jeden człowiek może dekretami poprzewracać boskie porządki do góry nogami - mówił już prawie bez niedowierzania. -Gratulować mocy - dorzucił ni to do siebie, ni to do tłustych nagłówków. Ale żeby je teraz z powrotem na miejscu jak trzeba postawił, nie wierzę.

3

Głupio się stało i całkiem niepotrzebnie- powtarza Ona i dociska kolanem wypaczone drzwi szafy.

-Tyle z tego zostało, że się w pudełku po butach mieści.

Pudełko stoi w kuchni na parapecie. W nim gruby plik kopert i pocztówek.

-Nadal przychodzą - wzdycha raczej bez emocji - kilka razy w roku.

Początkowo chowała je przed nim, żeby go nie denerwować, ale potem przestała.

-Spokojny On teraz jak nigdy- mówi.- Telewizor nawet chciał naprawić, ale Mu powiedzieli, że się nie da, bo do takich gratów już lamp nie robią. Zamyśla więc na wiosnę kupić nowy. Kolorowy. Raz nawet, ale to chyba w żartach, powiedział, że zdała by się też taka antena, która cały świat ściąga. Może by wtedy wnuki przyjechały pooglądać. Tak jakby kiedyś po to przyjeżdżały- fuknęła.

Niektóre kartki nawet Jej się podobają. Na przykład ta z morzem. Przyszła zeszłego lata z Bułgarii, od syna. Na wczasach byli z żoną.

Jeden wnuk przysyła, co roku, z Mazur. Teraz moda w lipcu na żagle.

Lekarz z Wrocławia pnie się w górę. Pracuje ze studentami na Akademii. Jakieś wynalazki robi, więc bardzo zajęty. Pisał, że może w przyszłym roku wpadnie na dłużej.

Jednej zimy córki z Gorzowa przysłały opłatek w kopercie, a synowa z Polic dwie szpulki srebrnej nici. Kupiła w Grecji, bo tam wszystkie świecidełka świata mają.

"Jak zobaczyłam"- pisała w liście- że się tak ładnie mienią, od razu pomyślałam o mamy falbankach i wzięłam bez namysłu."

Szpulki leżą w szufladzie szósty rok. Mówi, że Jej się ręce trzęsą, a takie wyszywanie to delikatna robota. Nic by z tego nie wyszło. A poza tym, co to za nici? Że srebrne i błyszczą?

Ale pocztą przyszły.